

Pamiętnik nr 17

Tuco Salamanca*

Obcy nie znaczy gorszy.

Żaden człowiek nie jest nielegalny.

Pamiętnik z podziemnego państwa pomocowego

Memoir No. 17: Tuco Salamanca, Stranger Doesn't Mean Worse. No Human Being Is Illegal. A Memoir from the Underground Aid State

Sierpień 2021 roku miałem bardzo zapracowany, nie miałem za wiele czasu na obczajanie, co dzieje się dookoła. To nie tak, że mam na wszystko wrypane, wręcz przeciwnie, ale nie mam telewizora, nie słucham radia, nie kupuję papierowych gazet, o tym, co dzieje się dookoła, dowiaduję się głównie z internetu albo od znajomych. Będąc niemal cały czas w pracy, nie za bardzo miałem na to czas. Pamiętam tylko, jak na jakiejś grupie messengerowej koleżanka z Warszawy napisała, że ponoć na Podlasiu zaczęli pojawiać się uchodźcy z południa i wschodu uciekający przez Białoruś i niedługo może być z tego duży temat. Zaciekało mnie to, ale nie miałem czasu drążyć tematu, gdzie na Podlasiu. Nie sądziłem też, że temat okaże się aż tak duży. Pamiętałem, że w mojej okolicy raczej nikt granicy nie przekraczał, na spotkaniach w wiejskiej świetlicy Straż Graniczna (SG), zdając roczny raport, opowiadała pierdoły, ile to aut skontrolowali, ile fajek z Białorusi ujawnili (na ogół jakieś mikroilości) i że wystawiono w ciągu roku np. trzy mandaty za wejście na pas drogi granicznej dla turystów, co sobie chcieli zrobić fotę za słupkiem granicznym. Raz jedyny w ciągu kilku lat pamiętam, jak mówili, że zatrzymali troje obywateli Ekwadoru, którzy przekroczyli granicę z Białorusią. Miałem koleżankę dopytać, co i jak, ale nie miałem czasu i wyleciało mi z głowy.

Po jakimś czasie zauważyłem, że coś faktycznie się dzieje, całe dnie byłem w pracy, ale zauważyłem, że nad lasem przy granicy zaczął latać helikopter, mieszkam

* Autor publikuje pod pseudonimem.



tu od kilku lat, lecz widziałem go wcześniej może ze trzy razy, a tu nagle prawie codziennie lata, nawet w nocy. Myślałem, że to przewencyjnie, ale też wiedziałem, że gdybym faktycznie spotkał w lesie jakichś ludzi, to warto byłoby im jakoś pomóc, dać coś do jedzenia.

Przyjechała kiedyś do nas znajoma, poszła na spacer do lasu. Szła drogą kilkaset metrów od mojego domu, droga biegnie równolegle do granicy, ale jest od niej oddalona o kilometr. Nagle pojawiła się SG, mówiąc jej, żeby stąd szła, bo nastąpiło przejście granicy. Dziewczyna przestraszyła się, że może to ona dokonała tego przejścia, po chwili zakumała, o co chodzi i wycofała się. Opowiadała mi to kilka godzin później, gdy wróciłem z pracy. Wtedy nabrałem pewności, że to wszystko dzieje się też zaraz koło mnie. Zacząłem się zastanawiać, kiedy w końcu osobiście spotkam uchodźców i jak będą reagować okoliczni mieszkańcy, zbierając grzyby i napotykając przybyszów z daleka. Kto będzie donosicielem, a kto będzie chciał ludziom pomóc.

Następny przeblysk związany z początkami kryzysu migracyjnego to Usnarz, po wyjściu z pracy wskoczył mi zasięg i zobaczyłem wiadomość od innej koleżanki, że w Usnarzu jazda, że ludzie z Afganistanu w potrzasku i żeby tam jechać. Zelektryzowała mnie ta wiadomość. Następnego dnia nie poszedłem do pracy, poczytałem w internecie, jak wygląda sytuacja w Usnarzu i nie mając złudzeń, że uda mi się podejść i podać choćby wodę uchodźcom, pojechałem tam ze swoją dziewczyną i trójką znajomych. Postanowiłem zobaczyć, co się dzieje, osobiście, a przy okazji zawieźć jedzenie ludziom, którzy byli na miejscu i próbowali komunikować się z Afgańczykami przez megafon.

Na miejscu widziałem szpaler zamaskowanych chłopów w mundurach bez żadnych emblematów poza polską flagą, niedopuszczających do kontaktu z uchodźcami, byłem świadkiem włączania silników przez SG, żeby zakłócić komunikację z uchodźcami. Widziałem też, jak nie przepuszczono karetki z Warszawy, która przyjechała udzielić pomocy chorym, zmarzniętym ludziom. Na Podlasiu noce były już bardzo chłodne. Wróciłem w*****y niemocą, obrzydliwym postępowaniem służb i zacząłem śledzić sytuację kryzysu humanitarnego.

Nastał wrzesień, drugiego wprowadzono stan wyjątkowy, początkowo nie bardzo wiadomo było, jak to będzie działać, pojawiły się checkpointy, dość dziwnie i nieprzyjemnie czuliśmy się, będąc zatrzymywanym przez policjantów z bronią maszynową. Oni na szczęście początkowo też byli zdezorientowani i jeszcze nie bardzo upierdliwi. Chyba początkowo mieli rozkaz być miłym dla miejscowych. Wiadomo było, że pójdzie to w jakimś nieciekawym kierunku i miejscowi, a także regularnie odwiedzający region, zaczęli mieć obawy, że może być bardziej srogo, więc od pierwszych dni ruszyła fala meldunkowa. Ja oczywiście też pojechałem z E., żeby ją zameldować. Mieliśmy nadzieję, że tak nie będzie, ale liczyliśmy się z tym, że może dojść do

sytuacji, iż nie wpuszczą jej do strefy, bo jest tu niezameldowana. W gminie patola. Trafiliśmy przed zamknięciem, pod urzędem zresztą ustawiony checkpoint na drodze, na razie nieostro, SG z policją, jakaś pani i dwóch chłopów, w miarę uśmiechnięci w promieniach słońca. Do pokoju, gdzie meldunki – kolejka, zostało kilka minut, ale nie jesteśmy jedyjni, wszystkim się przypomniało, że chcą się zameldować. Pani od meldunków miła, daje kwity do wypełnienia, za dodatkową opłatą można dostać zaświadczenie o meldunku, ale nie bierzemy, bo ponoć informacja będzie w systemie, więc kontrolujący będą wiedzieć. Tylko czy zameldują?... Pani mówi, że normalnie to było z automatu, a teraz to wojewoda będzie indywidualnie dla każdego przypadku podejmował decyzję i będzie ona za kilka dni w bodajże wtorek.

We wtorek dalej nic nie było wiadomo, ale w końcu, że dwa dni później E. zameldowali.

Szybko też okazało się, że na dłuższą metę nie wszyscy policjanci potrafią być mili dla miejscowych. Niektórzy zapragnęli się „wykazać”.

Zastanawiałem się od początku, co o tym wszystkim myślą miejscowi. Nie chciałem pytać wprost, ale z rozmów z sąsiadami wynikało, że są zdezorientowani. Tutaj często sąsiadami nazywa się ludzi zamieszkałych od nas dosyć daleko – np. w tej samej gminie. Niewielu ludzi tu mieszka w okolicy, więc ludzie dość często się znają.

Część ludzi była normalnie po ludzku przestraszona sytuacją, że w lasach, niekiedy zaraz za płotem, są jacyś obcy, z którymi nie można się dogadać, bo nie mówią ani po „swojemu”, ani po polsku. To było normalne. Społeczność jest tutaj konserwatywna, boi się zmian i nowości. Po wioskach większość, a czasem i sto procent mieszkańców, to ludzie starzy, rzadko wyjeżdżający z domu, na ogół najdalej do gminy czy powiatu. Nie mają internetu, jedyne łącze ze światem to opowieści sąsiadów, sklepowej, no i... telewizor. I tu doszedł niestety element propagandy. Naturalnie zaniepokojeni nową sytuacją ludzie nasłuchali się w TVP, jacy to uchodźcy źli i niebezpieczni i niestety wielu w to uwierzyło.

Ogólnie królowała obawa.

Babka poprosiła mnie, żebym zabrał od niej jakieś stare ubrania i przywiózł jej kumie – mojej sąsiadce mieszkającej kilka domów ode mnie. Powiedziałem, żeby zostawiła pod daszkiem na ganku, to zabiorę, jak będę przejeżdżał. „Nie, bo słyszałam, że uchodźcy się kręcą, strach cokolwiek zostawiać” – odpowiedziała.

Innym razem sąsiad przyszedł i pyta, czy będę jutro w domu, bo chciał zostawić klucz, żebym podał jego siostrze, jak przyjedzie. Ja na to, że niestety wyjeżdżam z rana, ale może przecież gdzieś klucz schować i powiedzieć siostrze przez telefon gdzie. „Nie, bo uchodźcy znajdują i wejdą do domu”.

Czasami też ludzie, nie mogąc dogadać się z przybyszami, wzywali służby w dobrej wierze – przecież po to są, dogadają się, zaopiekują.

Gadam z sąsiadką, mówi mi, że jej syn spotkał w lesie uchodźców, jak chodził za grzybami.

– No i co zrobił? – pytam.

– Jak to co, zadzwonił po straż graniczną.

Początkowo więc nastawienie większości nie było może przesadnie negatywne, ale ludzie bali się „nowego” i obecność ludzi w lasach odczytywali jako pewną niedogodność – więcej policji na drogach, więcej samochodów, hałasu itd.

Ci, którzy dzwonili po SG, spotykając uciekinierów, czasem robili to w dobrej wierze. Logika była prosta: SG jest od pilnowania granicy, są ludzie, którzy przeszli granicę, potrzebują pomocy, nie mogą zrozumieć ich języka, to zadzwonię po straż i ta się nimi zaopiekuje. Przecież początkowo organizacje pozarządowe pomagające uchodźcom też zalecały po nakarmieniu uchodźców i podpisaniu z nimi pełnomocnictw wezwanie SG. Wtedy na początku jeszcze, jeśli nawet ktoś słyszał o wywózkach na Białoruś, wciąż myślał, że to bardziej incydent niż nowa, regularna praktyka.

Tak jak wspomniałem, początkowo policjanci próbowali być mili. W mojej okolicy jako pierwsza chyba pojawiła się prewencja z Bydgoszczy. Bodajże 3 września jechaliśmy z E. przez checkpoint. Policjant grzecznie poprosił o dokumenty, najlepiej takie z adresem. Ja dałem dowód rejestracyjny – tam był adres. E. nie była zameldowana, więc dała dowód, a tam inny powiat.

– Mieszka tam pani w tej strefie? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

– A, dobra, słyszę, że mówicie gwarą, na pewno mieszkacie.

Żadne z nas nie mówi gwarą, a ja nawet mam obcy akcent, bo nie pochodzę z Podlasia. Po prostu chłop był przyzwyczajony do innej melodyki mowy na zamieszkałym przez siebie terenie, a nie chciał być upierdliwy.

Innym razem wracałem rowerem z lasu, miało się ku zmierzchowi, ale jeszcze widno. Przy wjeździe do mojej wsi punkt kontrolny. Oczywiście żądają dokumentów.

– Nie boi się pan tak do lasu? – pyta wąs.

– A czego mam się bać?

– No uchodźców.

Stopniowo chłopcy na checkpointach zaczęły się męczyć i wraz z pogarszającą się pogodą robić bardziej gderliwi i nerwowi. Zaczęły też ujawniać się niedoskonałości kartonowego państwa.

Któregoś razu wracałem wieczorem do domu samochodem. Było pewnie już sporo po 22. U mnie wieś zasypia bardzo wcześnie, zwłaszcza gdy dzień krótki.

Kontrola na checkpointie (stał tu 24h na dobę przez trzy miesiące, tylko kilka razy zmieniano miejsce jego ustawienia).

Policjant chce dokument. Podaję dowód osobisty.

– Tu nie ma adresu – stwierdza.

– No tak, w dowodach nie ma adresu, od dawna.

– A ma pan jakiś dokument z adresem, żebyśmy wiedzieli, że pan tu mieszka?

– Nie mam, nie możecie po prostu sprawdzić w systemie?

– Nie, dziś mamy problem z zasięgiem, system nie działa. Ma pan tu kogoś we wsi, kto potwierdziłby, że pan tu mieszka?

– Pewnie każdy sąsiad mógłby, choćby sołtys, ale obawiam się, że wszyscy już dawno śpią.

– A tak, poznaliśmy sołtysa. Ale nie możemy tak pana wpuścić.

– Jak to nie, to nie mój problem, że wasz system nie działa, ja chcę wrócić do domu.

– No dobrze, spróbuję w systemie, może wrócił zasięg.

Po dłuższej chwili chłop wraca:

– No, ma pan szczęście, system zadziałał, inaczej miałby pan problem, nie moglibyśmy pana wpuścić.

Odwiedził mnie sąsiad, jest sympatycznym chłopem, choć jest trochę dziwny. „Niedopieczony”, „oferma” – podśmiewają się czasem z niego inni starzy kawalerowie, którzy zamieszkują moją wieś. Gość ewidentnie odstaje od normy, ale też sporo na plus, nie chleje jak wielu tutaj, miło się z nim rozmawia, interesują go różne rzeczy. Słabo mówi po polsku, większość tutaj rozmawia ze sobą „po swojemu”, ale ze mną jako z „nawołoczą”, jak tu określa się przeprowadzonych tu przyjezdnych raczej w miarę klasyczną polszczyzną. G. mówi tylko dialektem. Uczył się polskiego w szkole i ogląda polską telewizję, więc wszystko rozumie, ale podobnie jak jego matka, nawet do mnie mówią swoim pięknym językiem, jednym z odmian, która akurat funkcjonuje w moim rejonie. Lubię to, że mnie traktują tak jak swoich, choć wynika to poniekąd z tego, że po prostu nie opanowali polskiego.

Opowiadał, że jedzie rowerem, a na checkpointie trzymają dwóch uchodźców. Zatrzymał się, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale policja mu kazała jechać.

Wypytyuję go, skąd ci ludzie.

„Nie znaju (nie przytoczę w oryginale, tylko tłumaczenie), tacy trochę czarni, ale nie mocno. Jak w gminie był kiedyś koncert, to śpiewała taka artystka z Indii. To oni podobnie do niej wyglądali, ich skóra miała podobny kolor”.

Ze słów G. nie przebijała niechęć do przybyszów, raczej zaciekawienie.

Od pierwszych dni kryzysu migracyjnego na Podlasiu pojawili się aktywiści i tam, gdzie nie sprawdziło się państwo, ratowali sytuację. Działał jakiś system pomocy, ale jeszcze niemrawo.

Znałem niektórych aktywistów z innych sytuacji, większość była dla mnie nowa. Zapytano mnie, czy jestem chętny do pomocy, jeśli coś będzie się działo w pobliżu mojej wsi. Bez wahania się zgodziłem. Dostałem trochę słodyczy, koców termicznych, czapek itp., żeby mieć w domu coś, gdybym musiał zanieść pomoc do lasu.

Byłem kiedyś w Białymstoku, gdzie zaglądam raczej rzadko. To był bodajże 28 września. Zadzwonił kolega aktywista, że niedaleko mojego domu jest duża grupa z Iraku. W tym czasie szli głównie Kurdowie z Iraku i trochę Syryjczyków. Innych nacji było wtedy znacznie mniej. Zapytał mnie, czy mógłbym do nich pójść, zanieść im potrzebne rzeczy. Ja, że bardzo chętnie, ale muszę dojechać, a to ponad godzina. Niestety nie miałem w domu telefonu i karty sim, o które ludzie prosili, więc kolega zasugerował, żebym pojechał po nie do bazy aktywistów. To znacznie wydłużyło czas, ale rzeczy były potrzebne.

Jadąc, musiałem zatrzymać się w lesie na punkcie kontrolnym. Obok zaparkowanego radiowozu stali dwaj policjanci i strażniczka graniczna.

Najmniejszy z nich, ale chyba najstarszy rangą był wyjątkowo podekscytowany. Jego uwagę zwróciło pieczywo z odzysku, które miałem w samochodzie w dużym czarnym worku. Często takie woziłem, na długo zanim pojawili się uchodźcy.

– Po co to panu?

– Wiozę dla sąsiadów, dla ich kur.

– A nie dla uchodźców?

– Nie. Myśli pan, że uchodźcy byliby zainteresowani takim starym chlebem? – powiedziałem.

Nie dał wiary i zaczął mi grzebać w aucie.

– Jak ktoś nie je od wielu dni, to wszystko zje – powiedział triumfalnie.

Czyli doskonale wiedział, że występuje przeciwko biednym, wygłodzonym ludziom.

Wkręcił się, sprawdzał wszystko, kieszenie w drzwiach, schowek, bagażnik, zaglądał pod wycieraczki. W schowku koło kierownicy znalazł druki pełnomocnictw po polsku i arabsku, które woziłem od jakiegoś czasu, bo NGO-sy zalecały, żeby mieć w razie spotkania uchodźców, żeby je z nimi podpisać.

Na jego wrednej gębie pojawił się wyraz triumfu.

– Co to takiego?

– Pełnomocnictwa.

– Po co to panu?

– A co, zabronione jest posiadanie pełnomocnictw?

– Ale po arabsku?

- A co, zabronione jest posiadanie pełnomocnictw po arabsku?
- No nie.
- Więć o co panu chodzi? Wolno mi mieć, to mam.
- O to, że może pan być zamieszany w pomoc w nielegalnym przekraczaniu granicy, a to jest zabronione.

Na samym początku w zasadzie nikt nie wiedział, co jest zabronione prawnie, a co nie.

O ile z etycznego punktu widzenia nie miałem od początku najmniejszej wątpliwości, że ludziom w potrzebie trzeba pomagać, o tyle nie wiedziałem do końca, co mogę robić zgodnie z istniejącym i w dodatku zmieniającym się w ekspresowym tempie prawem.

Początkowo nawet niektórzy znajomi prawnicy zastanawiali się, czy legalne jest np. przekazywanie jedzenia. Bo z jednej strony obowiązek ratowania ludzkiego życia, z drugiej możliwość oskarżenia o pomoc w nielegalnym przekraczaniu granicy.

Wiedziałem, że nie robię nic złego, ale sytuacja mnie spięła. Nie raz miałem do czynienia z policją podczas różnych protestów, ale mimo to czułem się nieswojo.

Sam w lesie z trójką funkcjonariuszy, gość grzebiący mi po wszelkich zakamarkach samochodu, a potem też po kieszeniach, mogący w każdej chwili np. podrzucić mi narkotyki.

Miałem wrażenie, że pozostała dwójka patrzy na swojego przełożonego i generowaną przez niego sytuację z zażenowaniem, ale nie odzywali się.

Zaczęły zjeżdżać się kolejne samochody policji i straży granicznej.

– Odsuń się złotko, bo cię auto potrąci – odezwał się nadgorliwiec do laseczki ze straży granicznej.

Z rozmów pomiędzy nimi wyłuskałem, że młoda kobieta jeszcze niedawno siedziała na lotnisku i sprawdzała przylatującym paszporty, dopiero kilka dni temu rzucono ją do lasu, żeby polowała na ludzi.

Przyjezdni funkcjonariusze tradycyjnie podzielili się rolami. Jedni patrzyli na mnie jak na zbrodniarza, inni udawali sympatię.

Kurdupel wymyślał coraz nowsze niedorzeczności, jego podejrzenia wzbudzało wszystko: lornetka do obserwacji ptaków, kurtka, ulotki przyrodniczej organizacji pozarządowej, czekolada. W końcu znalazł sól w pudełeczku po lekarstwach i prawie zemdłał z euforii do czasu, gdy dotarło do niego, że sól to po prostu sól.

Typ był nieprzyjemny i po prostu głupi. Ten rodzaj tępoty myślowej, kiedy dany osobnik wyciąga jakieś niedorzeczne wnioski, fiksuje się na nich i nie daje mu się przetłumaczyć, że są o wiele prostsze wytłumaczenia dla jego zawiłych, często nietrzymających się kupy założeń.

Tym razem z triumfem zapytał:

– Niech mi pan powie, skoro jest pan miejscowy, to po co pan ma włączoną nawigację?

– Bo jadę z Białegostoku i chciałem widzieć czas dojazdu, a co w tym dziwnego?

– Bo ja tu jestem dopiero dwa tygodnie i już wszystkie zakamarki znam, a pan widzę nie.

– Gratuluję ogaru, co w takim razie z tego wynika?

– Że to jest podejrzane, że niedaleko miejsca zamieszkania jeździ pan z włączoną nawigacją!

– Wygrał pan, miałem włączoną nawigację i co teraz?

– W zasadzie nic.

Gość chciał koniecznie obejrzeć mój telefon. Odmówiłem. Zlecieli się mendiarze, którzy dojechali później.

– Musi pan pokazać, musimy sprawdzić numer IMEI, żeby sprawdzić, czy telefon nie jest kradziony. Musimy wpisać specjalny kod, to pojawi się numer.

– To proszę podać kod, to go wpiszę.

Tak też zrobiliśmy, ale w zamieszaniu kurdupel zabrał mój telefon i zaczął w nim grzebać mimo moich protestów.

Potem wsiadł razem z nim do radiowozu i położył go na desce rozdzielczej. Mi kazali siedzieć w moim samochodzie. Było zimno, cała sytuacja trwała już około godziny. Mój telefon zaczął dzwonić.

– Chciałbym odebrać telefon, moja dziewczyna pewnie się o mnie niepokoi.

– Oddzwoni pan potem.

– Czy jestem zatrzymany?

– Nie.

– W takim razie proszę mi oddać telefon i chcę już jechać.

– Wie pan co? W zasadzie podczas interwencji, to powinien pan cały czas siedzieć nieruchomo z rękami na kierownicy, a pan ma tyle przywilejów i zamiast to docenić, sprawia pan problemy – odezwał się karzeł, szyderczo sugerując, że zaraz moje położenie może się pogorszyć.

Nienawidziłem go z całego serca.

W końcu po długim czasie oddano mi telefon i pozwolono jechać. Pojechałem do bazy po rzeczy dla uchodźców i wróciłem do domu inną, okrężną drogą.

Niestety przez zawirowania po drodze minęło bardzo dużo czasu od zgłoszenia, więc gdy spakowaliśmy z E. rzeczy i dotarliśmy na miejsce, dookoła był tylko las. Połaziliśmy dookoła i zostawiliśmy część rzeczy na wypadek, jakby ludzie się znaleźli i zaczęliśmy dreptać do domu. Był środek ciemnej nocy, ale szliśmy z wyłączonymi latarkami, bo byliśmy niedaleko granicy na drodze, którą często jeździły służby.

W pewnym momencie zauważyłem coś na drodze – dużą ciemną plamę na tle czarnej nocy.

– Tam coś jest. Może żubr, może ludzie – szepnąłem do E.

Stanęliśmy i zaczęliśmy się wpatrywać i przysłuchiwać, aż dobiegły nas cichutkie odgłosy ludzkiej rozmowy. Podeszliśmy bliżej i okazało się, że spotkaliśmy trzyosobową rodzinę z Afryki.

To było takie dziwne. W miejscu, gdzie chodziłem obserwować zwierzęta, gdzie przed kryzysem humanitarnym spotykałem z rzadka straż graniczną albo leśniczego, a bardzo rzadko jakiegoś lokalsa lub turystę, nagle w środku nocy goście z odległego kontynentu.

Mama, tata i na oko około dziesięcioletni synek.

Podeszliśmy, oferując pomoc i prosząc, żeby zeszli z drogi do lasu, bo droga nie była dla nich bezpiecznym miejscem.

Okazało się, że jest problem komunikacyjny, bo mówią po francusku, a my nie. Próbowałem dzwonić do koleżanki, żeby tłumaczyła, ale była trzecia w nocy, więc zrozumiała, że nie odbierała.

Okazało się, że spotkana kobieta mówi odrobinę po rosyjsku, więc udało się jakoś skomunikować. Byli świeżakami, nie wyglądali na zabiedzonych, chyba naprawdę niedawno przeszli granicę. Potwierdzał to również fakt, że najwidoczniej nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji, pytali, jak mogą dotrzeć do najbliższej wsi lub miasta. Tłumaczyliśmy im, że jeśli nie chcą być wyrzuceni na Białoruś, muszą trzymać się z dala od ludzi, a we wsi jest policyjny checkpoint.

Udało nam się przekazać im numer alarmowy i trochę słodyczy. Nie chcieli za wiele od nas, pokazaliśmy im tylko kierunek, którądy powinni iść, żeby ominąć bagna i ruszyli w swoją drogę, a my do domu z przeświadczeniem, że raczej trudno im będzie sobie poradzić w dużym, dzikim lesie, ale też, że zrobiliśmy, co mogliśmy. Tak spotkałem „swoich” pierwszych uchodźców.

Na drugi dzień rano ruszyłem z sąsiadem do miasta, bo już dzień wcześniej obiecałem mu, że zawiozę go po zakupy. Zastanawiałem się, czy policja na checkpointie będzie już wiedzieć o tym, że byłem tak mocno kontrolowany poprzedniego wieczora. Jeszcze nie wiedziała. Policjant tylko sprawdził dokumenty i pojechaliśmy.

Gdy wracaliśmy po kilku godzinach, na posterunku byli ci sami policjanci i początkowo gość chciał nas puścić, ale oprócz nich był też zaparkowany pick-up wypełniony schabami w mundurach. Byli to ci sami ludzie, których wezwał poprzedniego wieczora na odsiecz kurdupel. Zawołali na słówko kontrolującego nas i podejście błyskawicznie się zmieniło. Kazano nam wysiąść z auta i prawie wszystko wypakować. Nadmienię tutaj, że w samochodzie było m.in. kilka worków ziemniaków, bo sąsiad kupował zapasy na zimę. Znowu macano wszystkie kieszenie i schowki w samochodzie, a także pakunki, które odebrałem w mieście od aktywistów, przeznaczone do niesienia pomocy w lesie – były tam słodycze, ubrania, telefon, koce NRC itp. Wszystkie te przedmioty zostały obfotografowane. Oczywiście

mój sąsiad, który nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, również znalazł się na celowniku. Wybebeszono jego siatki z zakupami. Wszystko znowu stało się podejrzone. Zarówno moje ulotki o tematyce przyrodniczej, książka o Mauretanii, jak i ryby zakupione przez sąsiada w sklepie rybnym. Sąsiad kupił też kilka ciepłych swetrów w ciucholandzie. To wzbudziło bardzo duże zainteresowanie. Wyciągano je, rozkładano na drodze i fotografowano obustronnie.

Sąsiad był bardzo zdziwiony i nie wiedział, czemu to wszystko się dzieje. Nie wtajemniczałem go. Moje ulotki, mimo że w ogóle niezwiązane z tematem granicznym, też zrobiły furorę. Przeglądano je jedna po drugiej, mimo że były jednakowe. Na ulotce poza tekstem było zdjęcie kobiety stojącej pod dużym drzewem. Policjanci, mimo że wpatrywali się długo w ulotki, nie zadali sobie trudu przeczytania krótkiego tekstu, tylko pytali mnie, czy na zdjęciu jest osoba zaginiona.

Tylko raz w życiu przedtem, mimo że podróżowałem wiele po świecie, sprawdzano mi materiały pisane i wertowano książki – to było w Chinach, w Ujgurii, gdzie nagminnie łamane są prawa człowieka i wszyscy są podejrzeni.

– Skąd ma pan te swetry? – zapytał policjant sąsiada.

– Ja kupił w ciucholandzie – odpowiedział przestraszony sąsiad.

– Po co one panu?

– No była przecena, to wzięłem na zimę.

– To co, tak zimno tu u was? – grzmiał chamsko kark o twarzy zbira ubrany w niebieski mundur (wielokrotnie temperatura w nocy spadała już poniżej zera w ciągu ostatnich tygodni).

W końcu pozwolono nam spakować rzeczy i jechać. Odwiozłem sąsiada z zakupami i zaparkowałem pod domem kilkaset metrów od checkpointu. Zacząłem dolewać sobie płynu do chłodnicy, kiedy schaby podjechały pick-upem i wrednie się patrząc, zaparkowały kilka metrów ode mnie. W ich spojrzeniach nie było nic pozytywnego. To był nienawistny wzrok, jaki widzi się na twarzach nienawidzących się nawzajem kiboli albo na faszystowskich marszach. Stali tak i się gapili, dopóki nie wszedłem do domu. To miało mnie zastraszyć i zniechęcić do niesienia pomocy. Od tamtej pory, aż do mojego wyjazdu poza region kilka dni później, za każdym razem mijając checkpoint, miałem „specjalne traktowanie”, czyli więcej niż zwykle pytań i bardziej szczegółową kontrolę. Gdy wróciłem po około dwóch tygodniach, zmieniła się obsada policyjna i na szczęście zmieniające się warty nie przekazały sobie informacji o tym, że mam być specjalnie szykanowany. Do mojego wyjazdu schaby z prewencji podjeżdżały mi też regularnie swoim wozem pod dom.

Do 30 września miałem termin na skoszenie łąki. Łąka w strefie, a ja bez traktora. Zawsze mi kosił kolega z innej wsi, ale w tym roku nie wie, czy uda mu się wjechać do strefy. Dzwonię na straż graniczną, gdzie słyszę, że absolutnie nie wjedzie.

– To co ja mam zrobić? – pytam. Jak nie skoszę, to będę płacił kary.

Rozmówca z wyraźnym fochem mówi, żebym napisał podanie do komendanta, ale nie gwarantuje, że to się uda. Piszę podanie i wysyłam mailem.

P., który mi zawsze kosi, denerwuje się, że takie komplikacje, nie chce mu się jechać 8 km traktorem w jedną stronę na darmo. Czekam do jutra, jutro ostatni dzień, w którym mogę skosić.

Ogólnie P. spotyka uchodźców, bo pracuje maszynami rolniczymi na zadupiach w pobliżu granicy tylko w innym miejscu. Opowiada mi o tym bez zaangażowania emocjonalnego (do czasu). Tutaj widział, że jakichś chłopów policja złapała, tam mu opowiadał znajomy, że mu uchodźcy przebiegli drogę i zadzwonił na 112, to go złali, ale potem jednak przyjechała straż graniczna i wydzwaniali, pytając, gdzie to. Opowiada to jako ciekawostki, podobnie jak zawsze opowiada, a to, że spotkał czarnego bociana, a to, że stado jeleni.

Późnym wieczorem zadzwonił znajomy. Jest bieda. Ta rodzinka, którą spotkaliśmy, odezwała się na numer alarmowy. Dalej są w strefie. Tak naprawdę od miejsca, gdzie ich spotkaliśmy, przeszli tylko około kilometra w linii prostej. Proszą, żeby im jakoś pomóc, babce porobiło się coś z nogami i trudno jej się chodzi. Dziecko chore. Nie umieją się wydostać z lasu. Jest pomysł, żeby ich wyprowadzić poza strefę i tam ujawnić w obecności dziennikarzy – może ich to uratować przed push-backiem. A może jakiś dobry samarytanin wywiezie ich za darmo gdzieś, byle dalej stąd. Wyprowadzić ich mogę ja, bo jestem w strefie, w pobliżu. Gość mówi mi, że oczywiście nie muszę tego robić, bo to ryzykowne dla mnie. Boję się bardzo, tak jak wcześniej pisałem, nie znam jeszcze dokładnie przepisów. Nie wiem, że za pomaganie ludziom bez zarabiania na tym mogą ciągać po sądach, ale teoretycznie nie jest to przestępstwo. Obawiam się, że ryzykuję odsiadką, ale się zgadzam. Pomaga mi w tej decyzji wspomnienie tego małego dzieciaka, który teraz powinien już spać, a siedzi gdzieś w lesie zaszczyty, zmarznięty i chory.

Dotarcie do nich naokoło, bez latarki, zajęło sporo czasu, po drodze prawie wszedłem na stado żubrów. Na szczęście nie spotkałem żadnych mundurowych ani w ogóle żadnych ludzi. Gdy przyszedłem na miejsce, spali przy malutkim ognisku. Zbudziłem ich, dzieciaka długo nie mogli dobudzić. Dałem im herbaty i jakies jedzenie, kobiecie przyniosłem za duże kalosze, żeby mogła w nich zmieścić swoje nadwyrężone, spuchnięte nogi. Byli dość posępni i widać było, że ich stan przez dobę znacznie się pogorszył. Mieli mokre obuwie, skarpety i częściowo spodnie. Nie mogliśmy założyć zmokniętych butów chłopcu, nie dość, że były dosyć ciasne, to jeszcze sznurówka w jednym z nich zacisnęła się na supel i dopiero po dłuższej chwili udało się przepalić ociekającą wodą sznurówkę za pomocą zapalniczki.

W końcu ruszyliśmy w drogę, starałem się nie używać światła, choć noc była dość ciemna. Chłopczyk był zmęczony, czasem prosił, żebyśmy się zatrzymali i odpoczęli. Trochę go niosłem na rękach, ale nie był już bardzo mały i swoje ważył, a teren był trudny, pełen powalonych drzew.

Przemieszczaliśmy się bardzo wolno, unikając leśnych dróg. Do celu nadal było daleko, a sił wędrowcom ubywało. Mały M. coraz częściej prosił o przerwę, a ja coraz częściej z przykrością musiałem mu odmawiać, widząc, że poranek zbliża się nieubłaganie. Na krótkich postojach pokazywali mi w telefonie filmiki nagrane po białoruskiej stronie. Na nich mnóstwo sponiewieranych ludzi koczujących przy ogniskach w oczekiwaniu na przekroczenie granicy.

Po długiej wędrówce dotarliśmy w pobliże miejsca docelowego, do świtu wciąż było około dwóch godzin. Niestety droga, którą mogliśmy szybko dotrzeć do celu, była niebezpieczna, więc skręciliśmy w las, gdzie trudniej było natknąć się na jakieś służby.

No i niestety wleźliśmy w paskudne podmokłe olsy. Olsy są pięknymi lasami rosnącymi na obszarach bezodpływowych, często stoi w nich woda, czasami bardzo dużo wody. Dzikie, puszczańskie olsy to przyrodniczy rarytas, niestety trudno docenić ich wartość, brodząc w nich w nocy po omacku w towarzystwie chorych ludzi na skraju wyczerpania fizycznego i psychicznego.

Ja miałem kalosze, więc za wiele wody nie dostawało się do moich stóp, dyskomfort powodowały więc tylko powalone drzewa, nierówności terenu i zasysające nogi bagno. Reszta była w znacznie gorszym położeniu. Mężczyzna i dzieciak byli w trampkach, a kobieta miała wprawdzie kalosze, które jej przyniosłem, ale były one za duże na nią i w dodatku za krótkie jak na ten stan wody. Dochodziła presja czasu. Cała trójka już praktycznie ślaniała się na nogach. Kobieta co kawałek upadała jak długa w śmierdzące bagno, po tym, jak któraś z jej nóg grzęzła w bagnie raz po raz. Wyciągaliśmy ją i po chwili sytuacja się powtarzała. Bałem się, że w końcu nie będą w stanie iść, a świt był coraz bliżej. W końcu po długiej mordędze wyszliśmy na suchszy grunt. Dzieciak był ledwo żywy i cały czas prosił, żebyśmy na chwilę usiedli. Siadaliśmy jeszcze ze dwa-trzy razy na chwileczkę, ale na prawdę czasu zostało bardzo niewiele. Czulem się okropnie, odmawiając odpoczynku zmęczonemu dziecku i poganiając ledwie trzymających się na nogach ludzi.

Do celu zostało trochę ponad kilometr i niestety coraz częściej pojawiała się gęstwina splełanych młodych świerków, po których trudno chodzić się nawet za dnia, będąc wypoczętym. Niebo zaczęło jaśnieć.

Porozumiałem się z ekipą, że nadchodzimy, ale niestety teren roił się od straży granicznej i wszelkie ruchy trzeba było przesunąć o długie godziny. Rodzinka była pijana ze zmęczenia i nie myślała racjonalnie, rozmawiali ze sobą coraz głośniej, a byliśmy już bardzo blisko wsi i asfaltowej drogi. Musiałem co chwilę



Fotografia 1. Kontrola obywatelska

Photo 1. Civic control

Źródło: fot. autor, 2021.

Source: photo by author, 2021.

ich uciszać. W końcu dotarliśmy na miejsce. Poprosiłem, żeby się ukryli i czekali cierpliwie, aż ktoś przyjedzie z mediami ich ujawnić. Podziękowali, ale sprawiali wrażenie nieobecnych. Wiedziałem, jakie to brutalne – byli skonani i przemoczeni (zwłaszcza kobieta), a było zimno – koniec września. Musieli leżeć schowani w krzakach wiele godzin, słuchając ujadającego nieopodal psa, który prawdopodobnie wyczuł naszą obecność. Pożegnałem się z biedakami i ruszyłem pędem w powrotną drogę. Miałem sporo kilometrów przed sobą, też wolałem nikogo nie spotkać, ale chociaż już odczuwałem ulgę, że jak kogoś spotkam, to nie spowoduje to, że tę rodzinę wyrzucą przez granicę. Prawie biegłem i przez nieuwagę rozorałem sobie policzek suchą gałęzią. Po kilku godzinach, wczesnym rankiem byłem z powrotem w domu.

Zadzwoił kolega, że rusza do mnie kosić łąkę. Z SG nie przyszła do tej pory żadna odpowiedź na mój wniosek. Liczę, że może policja nie jest dobrze

skomunikowana z SG (w późniejszych miesiącach okazało się, że mimo iż wszystkie służby mocno ze sobą współpracują, to często komunikacja pomiędzy nimi leży). Gość przejeżdża przez checkpoint nawet niezatrzymywany. Dla tych akurat policjantów traktor rządził się specjalnymi prawami. Świetnie. Łąka skoszona, jeden problem z głowy. Kilka godzin po tym, gdy kolega już dawno odjechał, dzwoni gość ze straży granicznej i w dość nieprzyjemny sposób informuje, że jeśli chcę, aby podanie rozpatrzone, muszę uzupełnić dane, np. PESEL traktorzysty (faktycznie nie podałem), ale także swój adres i PESEL (to akurat podałem, o czym informuję rozmówcę). Koleś jest dosyć wybijany, robi łachę, upiera się, że nie podałem danych, które podałem, a bez zgody komendanta nikt tam nie wjedzie. Nieogar służb poprawia mój słaby humor – od wielu dni jestem przybity panującą sytuacją, akcja z pojawiającymi się za płotem co pewien czas tajniakami i ogólnie ciągłą prezencją uzbrojonych ludzi często o głupich i/lub wrednych gębach tylko ten stan potęguje. Łąka dawno skoszona, nie zamierzam się tym chwalić, informuję tylko strażnika, że akcja koszenia odwołana i żegnam się z naburmuszonym służbistą.

Po południu dostaję wiadomość, że „moja” rodzinka po wielu godzinach oczekiwania w końcu zaopiekowana. Nastąpiło ujawnienie i wprawdzie na razie trafili do ośrodka zamkniętego, czyli więzienia, ale chociaż nie umierają już z zimna w lesie i nie zostaną wyrzuceni z powrotem na Białoruś. Teraz już wiem, że dotarli do Francji, do rodziny, do której zmierzali.

Od tamtej pory jeszcze wiele razy w ciągu kolejnych miesięcy nosiłem ludziom pomoc do lasu, a czasami też przeprowadzałem w bezpieczniejsze miejsca.

Kilka dni później wyjeżdżam na pewien czas. Ostatnia kontrola na checkpointie, gliniarz, widząc tony bagażu, dopytuje o to i tamto, wie, że to ja jestem tym niewygodnym elementem. Szczerze mu mówię, że nie będzie mnie musiał oglądać przez jakiś czas, bo wyjeżdżam, gość nie jest taką przebrzydłą mendą jak niektórzy, odpuszcza wybebeszanie samochodu, zerka tylko, czy nie wiozę ludzi i pozwala jechać.

Wracam na Podlasie, jest jeszcze październik, nawet nie jadę do domu, zaglądnę tam na chwilę kilka dni później. Wiem, że się dzieje, w lesie mnóstwo uchodźców, jeszcze więcej mundurowych. Oprócz niektórych miejscowych ludzi w drodze pomagają też rozmaici aktywiści. Wiem, że powstały różne bazy, skąd aktywiści noszą w teren jedzenie, wodę i inne rzeczy potrzebne do przeżycia w lesie. Jadę do jednej z baz, żeby pomóc. Jest tam sporo ludzi i miła atmosfera, ale niestety napinka też jest. Mało snu, dużo interwencji, po drodze niedaleko celu psuje mi się samochód, ale ratuje mnie jeden z aktywistów. Trafiam na bazę i chwilę po ogarnięciu się już jadę do lasu do ojca z dwójką młodych, ale już dorosłych dzieci. Syryjczycy.

W najbliższych dniach (i nocach) jeszcze wielokrotnie będę jeździł i skradał się do ludzi. Pomagam też w gotowaniu i innych bazowych rzeczach. Bardzo mało

snu. Mnóstwo ludzi w lesie. Różnych i z różnych krajów, ale głównie iraccy Kurdowie i Syryjczycy.

W jednym dniu zaglądam na chwilę do siebie. Wieś uciszona, mało się dzieje, z oddali tylko słychać, jak jeżdżą wojskowe ciężarówki. Zadzwoił syn sąsiadów, którzy tu się przeprowadzili z dużego miasta i siedzą od wiosny do jesieni. Teraz już wyjechali, przyjechał pozakręcać wodę na zimę. Dostał mój kontakt od znajomego, robił porządek w mieszkaniu i przywiózł buty, które zalegały w szafie dla uchodźców. Zabieram duże pudło i dziękuję, ale niektóre oddaję z powrotem – jakieś galowe pantofelki i mokasyny z drogiej skóry. Myślę, że ludzie nie zdają sobie do końca sprawy, jakich warunków doświadczają ludzie w lesie.

Któregoś dnia jestem w mieście około godz. 20. Jedziemy z kolegą i widzimy, że policja na włączonych kogutach zatrzymała na poboczu dwóch chłopaków o śniadej cerze. Zatrzymujemy się i my i podbijamy. Pytamy, czy możemy dać gościom batony. Tym razem mamy szczęście, bo trafiliśmy na jakichś funkcjonariuszy z przebłyskami człowieczeństwa. Pan i pani z patrolu odpowiadają, że pewnie, że sami już im dali, co mieli, ale „tak dużo ich tu chodzi, że musielibyśmy wozic pełen bagażnik jedzenia”. Widzę, że dali chłopakom chyba coś do jedzenia, wodę i koc termiczny. Widzę zakłopotanie na ich twarzach, czekają na straż graniczną. Tak, to oni ich zatrzymali, pracują dla systemu, ale przynajmniej nie wyskakują przed szereg w znęcaniu się nad zamarzającymi w lesie ludźmi. Są miejscowi, chyba z drogówki, sądząc po czapkach, odzywają się do zatrzymanych z szacunkiem, to nie to samo, co schaby z prewencji na co dzień bijący się z kibolami, a ostatnio podjeżdżający mi pod dom i trzepiący samochód w poszukiwaniu sami nie wiedzą czego, próbujący odstraszyć ludzi od pomagania uchodźcom.

Zatrzymane chłopcy przemile – Kurdowie z Iraku, znam te twarze o miłym, spokojnym spojrzeniu z czasów, gdy jeździłem do tureckiego i irańskiego Kurdystanu. Rodzaj człowieka „do rany przyłóż”. Gadają po angielsku – dajemy im, co mamy – trochę słodyczy, wodę, rękawiczki, skarpetki, ogrzewacze do rąk. Są zatroskani i co chwila przepraszają za problem. Ale to nie oni są problemem. Ściągam kurtkę i daję jednemu z nich, bo jest lekko ubrany – wzbrania się, mówiąc, że mi będzie zimno (zaczyna się wieczorny przymrozek). Zapewniam go, że mam w domu drugą i dopiero wtedy przyjmuje ją z wdzięcznością. Policja nie robi żadnych problemów, dziękuję im, że zachowują się po ludzku. Nie uważam, że to frajerstwo, świat nie jest czarno-biały. Wiem, jakimi s*****i potrafią być ludzie, gdy założą mundur, ta dwójka taka nie jest. Bierzemy od zatrzymanych dane, żeby mieć ślad, że ktoś taki w ogóle istnieje. Policjanci mówią: „Ci Panowie to jeszcze w całkiem dobrym stanie, ostatnio mieliśmy skrajnie wymęczoną grupę, jedna kobieta nie miała nawet buta”.



Fotografia 2. Uchodźcy z Jemenu

Photo 2. Refugees from Yemen

Źródło: fot. autor, listopad 2022.

Source: photo by author, November 2022.

Czekamy na straż graniczną, na samo wspomnienie tej złowieszczej nazwy na twarzach zatrzymanych maluje się przerażenie. „Tylko nie straż graniczna, znowu wyrzucą nas na Białoruś, tam jest strasznie” – szepcze do mnie jeden z nich. W końcu podjeżdża land rover SG – wysiada młody strażnik, który od razu zasłania twarz i drugi zamaskowany żołnierz z karabinem.

– Panowie mają paszporty, ale to ja dla nich oddam – mówi policjantka.

– Nie, to dla mnie – mówi pogranicznik, zabierając dokumenty.

– Zapraszam! Go [chodź – ang.]! – krzyczy do chłopaków, życzymy im powodzenia i patrzymy zgruzowani na ich smutne, niepewne, co ich czeka za moment, twarze.

Pytam strażnika kilkakrotnie, dokąd ich zabierają – nie odpowiada. Co ma odpowiedzieć? Że wyrzucą ich do lasu na pastwę zdegenerowanych przez reżim białoruskich kolegów po fachu?

Ruszają dla zmyłki na południe, ale za kilka minut wracają – pewnie jadą prosto na granicę, wypchnąć chłopaków w mroźną noc. Jest coraz zimniej...

Wiem, że niektórzy funkcjonariusze nie ulegli propagandzie i zdarza się, że czasem przymykają oko i nie łapią uchodźców, zwłaszcza jeśli w jednym patrolu spotkają się przyzwoici ludzie. Słyszałem o takich sytuacjach. Wiem



Fotografia 3. Zamaskowani żołnierze blokują dostęp aktywistów do grupy uchodźców z Afganistanu, Usnarz Górny

Photo 3. Masked soldiers block activists to access to a group of refugees from Afghanistan, Usnarz Górny

Źródło: fot. autor, sierpień 2021.

Source: photo by author, August 2021.

też niestety, że większość ślepo wykonuje okrutne rozkazy, a czasem nawet jest w tym nadgorliwa.

Na początku listopada znowu opuszczam Podlasie. Gdy wracam, w lasach dalej „się dzieje”. Odwiedzam kolegę, który mi kosi łąkę. Nie wyzewnętrzniałem się wcześniej przed nim ze swoimi poglądami na temat panującej sytuacji. Śmiałyśmy się tylko razem, kiedy straż graniczna odmawiała możliwości wjazdu traktorem do strefy, a policja nawet nie zwróciła uwagi na to, że wjechał.

Tak jak wspominałem, początkowo kryzys humanitarny i los uchodźców nie robił na nim większego wrażenia, ot kolejna ciekawostka.

Tym razem jest mocno poruszony. Był świadkiem sytuacji, gdy uzbrojeni mundurowi trzymali pod karabinami grupę, w której były kobiety i dzieci. Było zimno, uchodźcy siedzieli na asfalcie, a ciepło ubrani funkcjonariusze uzbrojeni w długą broń pilnowali ich.

- Jak można tak traktować ludzi?!? – oburza się.
- Jeszcze w dodatku dzieci, co one winne – dołącza jego matka.

Są też zirytowani ciągłymi kontrolami, przeszukiwaniem samochodów.

P. opowiada mi sytuację, o której słyszał: gość jechał zmęczony po pracy i wiół przyczepę, na której były ułożone ciężkie stalowe rury. Policjanci na checkpointie kazali mu towar rozładować, żeby sprawdzić, czy pod rurami nie przewozi ludzi. Nie był z tego powodu zachwycony, ale tamci się uparli, więc zakasał rękawy i ściągnął żelastwo, pod którym oczywiście niczego nie było.

Skoro nie było, to kierowca zasugerował, że funkcjonariusze mogliby mu teraz pomóc załadować towar z powrotem. Odebrali to jako afront i „znaleźli” w samochodzie jakąś usterkę, na podstawie czego ukarali go mandatem.

Od tamtej pory praktycznie za każdym razem, gdy widziałem się z P., narzekał na służby, ich panoszenie się, bezsens całej sytuacji, a także na ich słabe przygotowanie.

Nadeszła zima, z początkiem grudnia stan wyjątkowy się skończył, ale tak naprawdę tylko w teorii, bo na jego miejsce powołano strefę objętą zakazem przebywania. Tak naprawdę zmieniła się tylko nazwa. Widocznym elementem zmiany wynikającym chyba bardziej z gigantycznych kosztów utrzymania było zniknięcie części checkpointów, np. tego na drodze do mojej wsi. Oczywiście pojawiały się okresowo i wyrывkowo, ale sama świadomość, że jadąc do domu, może nie trzeba będzie w świetle „kogutów” tłumaczyć się z oddychania i znosić natrętnych spojrzeń kontrolujących była miła. Służb w terenie, na drogach publicznych i leśnych nadal było pełno, po prostu po trzech miesiącach niektóre stałe punkty kontrolne przestały istnieć. Inne działały w najlepsze aż do 30 czerwca.

Mundurowi tradycyjnie panoszyli się, początkowa przyjazność wobec lokal-sów znikła już bardzo dawno. Oczywiście najgorzej byli traktowani ludzie, którzy pomagali uchodźcom albo byli o coś takiego podejrzewani, ale niezaangażowani w pomoc humanitarną mieszkańcy także nie mieli łatwo, zwłaszcza że podejrzany był praktycznie każdy, kontrolujący potrafili się przyczepić o butelkę wody bądź kilka batonów w aucie. Podejrzana była też np. ściółka leśna, którą wniósł na butach do samochodu kierowca lub pasażer.

Sam widziałem, a także słyszałem od ludzi o sytuacjach, kiedy wojskowe samochody miały zaklejone numery tablic rejestracyjnych albo po prostu odkręcone tablice. Słyszałem również o pobiciu przez żołnierzy w mojej okolicy leśnika, który przebywał w lesie, robił jakąś inwentaryzację, a żołnierzom nie spodobało się, że im się kręci koło granicy, mimo że jako wykonujący swoją pracę miał prawo przebywać w strefie. Zdarzały się kolizje z udziałem wojskowych samochodów, nie udawało się wyegzekwować zadośćuczynienia, bo nie wiadomo było, z kim ma się do czynienia. Wojskowi nie chcieli pokazywać swoich twarzy ani podawać danych. Dostyc często

wojskowe pojazdy lądowały też w rowach czy to ze względu na frywolny styl jazdy, czy też słabe umiejętności kierowców.

Wojskowe pojazdy nagminnie przekraczały dozwoloną prędkość w terenie zabudowanym, stwarzając zagrożenie dla wszystkiego, co żyje. Policja, widząc to, nie reagowała. Słyszałem o dwóch przypadkach w swojej okolicy, kiedy rozpędzone ciężarówką wojsko przejechało komuś psa, wzbudzając rozpacz opiekuna, jego dzieci i zrozumiałą niechęć do wojaków.

Ja któregoś razu musiałem gwałtownie zjeżdżać na pobocze śliskiej ośnieżonej drogi, bo z przeciwka jechał środkiem drogi rozpędzony busik z dwoma szyderczo uśmiechniętymi żołnierzami. Mieli zalepioną srebrną taśmą klejącą rejestrację i dokładnie widzieli, że jadę z przeciwka, widziałem ich zawzięte twarze. Nawet nie próbowali zjechać o choćby centymetr na swój pas. Cudem uniknąłem wjechania do rowu, bo pobocze było pokryte lodem.

Zdarzały się sytuacje zatrzymywania pojazdów przez wojskowych poprzez zajechanie drogi, czasem w bardzo niebezpieczny sposób. Na ogół dotyczyło to ludzi jadących w nocy do lasu, żeby zawieźć pomoc, ale czasem spotykało również zupełnie przypadkowych użytkowników dróg.

Taką sytuację w grudniu mieli moi znajomi. Wrócili z weekendowego wyjazdu do Warszawy. Mieszkają tam na co dzień, ale mają dom w zamkniętej strefie i często do niego przyjeżdżają. Byli już daleko, ze 35 km od swojego letniskowego domu i co najmniej kilkanaście od jakiegokolwiek strefy, gdy znienacka na ośnieżoną drogę wyjechał im nieoznakowany busik, tarasując możliwość przejazdu. Na szczęście udało im się wyhamować. Z busa wyskoczyli żołnierze z długą bronią. Jeden z nich poślizgnął się na oblodzonej nawierzchni i wywinął orła, nakrywając się karabinem. Żołnierze byli bardzo nerwowi, krzyczeli, kazali się legitymować. Powodem miało być to, że podróżujący znajdowali się w strefie (nie byli w strefie) i mieli obce numery (warszawskie).

Oczywiście żołnierze nie mieli żadnych emblematów i nie chcieli się przedstawić. Moi znajomi zachowali zimną krew i odmówili legitymowania się. Nie wiadomo, jak by się skończyła sytuacja, gdyby nie to, że nadjechała straż graniczna i pokazowo pomogła szykanowanemu, chyba mając na celu przedstawienie się w dobrym świetle, widząc, że trafili na „zwykłych” ludzi, a nie na aktywistów. Znajomi zgłosili sprawę na policję, ale oczywiście nic z tego nie wynikło.

Po pewnym czasie duża część mieszkańców pogranicza zdążyła poznać obowiążące przepisy w przeciwieństwie do służb, które często albo ich nie znały, albo udawały, że nie znają. Ludzie byli coraz bardziej zmęczeni przedłużającą się sytuacją, niektórzy wymiękli i dla świętego spokoju wykonywali wszelkie nedorzeczne polecenia służb mundurowych, inni zaczęli się stawiać i walczyć o swoje prawa,

choćby symbolicznie żądając od legitymujących przedstawiania się albo wytykając im bezprawne działania, gdy ich się dopuszczali.

W pewnym momencie policja na punktach kontrolnych dostała rozkaz nagrywania wszystkich kontroli i informowała o możliwości złożenia skargi.

Atmosfera napięcia i stresu udzielała się wszystkim.

Moja wieś, podobnie jak cała okolica, wcześniej super cicha i spokojna zrobiła się hałaśliwa z powodu niemal ciągłego ryku silników wojskowych pojazdów i latających niemal codziennie, często wielokrotnie w ciągu dnia, nisko nad lasem i wsią helikopterów. Wcześniej widziałem tu helikopter może z raz do roku albo i rzadziej. Latały też oczywiście drony.

Poszedłem kiedyś po coś do sąsiadki. Starsza kobieta, działa na innych falach niż ja ze względu na różnicę wieku i różne inne. Okazało się jednak, że nie tylko mi helikopter przeszkadza. Pani zaczęła utyskiwać, że non stop lata i hałasuje.

– Może to grzech, ale czasem tak sobie myślę: żeby tak spadł i przestał mnie denerwować. Któregoś dnia latał nam nad chatą i zaczęłam mu wygrażać pięścią, ale on to zobaczył i zawrócił, bo myślał, że ja mu jakieś znaki daję. No i syn wtedy się przestraszył i mnie zabrał szybko do domu.

Dowiedziałem się też, że podobnie jak ja pani M. jest zirytowana palącymi się przez całą noc latarniami.

Przed całą aferą późnym wieczorem gaszono latarnie w mojej wsi. Mieszkają tu głównie starzy ludzie i „chodzą spać z kurami”. Od wprowadzenia stanu wyjątkowego przestano gasić latarnie i świeciły się przez ponad 10 miesięcy od wieczora do rana. Światło latarni może i pod wieczór jest pomocne, ale w nocy, kiedy się śpi, oświetla wnętrza domów i powoduje dyskomfort. Człowiek ma trudności z zaśnięciem, kiedy wybudza się w nocy, nie wie, czy to jeszcze noc, czy już świta. Ja to tak odczuwałem, okazało się, że nie tylko ja.

Zadzwońiłem do gminy, żeby zasugerować problem. Okazało się, że były już takie telefony i pani zajmująca się infrastrukturą była zadowolona, że ludzie dzwonią w tej sprawie, bo „dla gminy to też problem, duże wydatki na energię elektryczną”. Dowiedziałem się też, że warto mówić sąsiadom, że jak mają podobne odczucia, to niech dzwonią, jak będzie presja, to może uda się, żeby znowu gasić latarnie na noc. Niestety jak sąsiadka zadzwoniła kilka dni później, okazało się, że pani odpowiedzialna za infrastrukturę jest na zwolnieniu chorobowym, a gość, który był w zastępstwie, niewiele wiedział i oznajmił, że to oświetlenie to odgórna decyzja narzucona gminie w związku z sytuacją specjalną na granicy.

Zima nie była specjalnie sroga, jeśli miało się gdzie mieszkać, dla ludzi w lesie nadal była bardzo niebezpieczna i niektórzy tułacze przypłacili to życiem.

Wprawdzie w grudniu zaczęło ubywać potrzebujących pomocy, za to, gdy już się pojawili, często byli w opłakanym stanie. Wiedziałem, że niektórzy

mieszkańcy zdecydowali się na przygarnianie do domów ludzi, którym groziła śmierć z wyziębienia. Było to chwalebne, ale oczywiście też niebezpieczne. Dla gości w razie najazdu służb (co się zdarzało) oznaczało wywózkę za druty, dla gospodarzy sprawę karną, mimo że ludzie nie czerpali z pomagania żadnych korzyści finansowych.

Wiedziałem, że i ja mogę znaleźć się w sytuacji, że będę musiał przygarnąć do domu jakichś zmarzniętych ludzi. Już w sierpniu, gdy jeszcze ludzie byli na granicy w Usnarzu, wyszedłem kiedyś w nocy przed dom. Lało jak z cebra, bardzo zimny deszcz. Pomyślałem wtedy, że to musi być straszne, być teraz w lesie w lichym ubraniu i nie móc się nigdzie schronić. Teraz był grudzień i czasami padał śnieg, a czasami lodowaty, marznący deszcz. Wiało też sporo, czasem huraganowy, zimny wiatr.

Nie miałem ochoty na kolejne stresy, ale byłem pewny, że jeśli faktycznie ktoś znajdzie się w pobliżu mojego domu i będzie potrzebował dachu nad głową, to mu go nie odmówię.

Akurat mnie nie było, gdy zadzwoniła znajoma. Dwóch wycieńczonych mężczyzn otrzymało pomoc od aktywistów niedaleko mojego miejsca. Mieli dalej iść, ale okazało się, że są zbyt słabi. Zwłaszcza jeden był w złym stanie, chorował. Miał biegunkę od picia bagiennej wody, a także wybity bark.

Zaproponowałem, że mogą posiedzieć u mnie, wytłumaczyłem, gdzie znajduje się klucz i zostali przyprowadzeni do mojego domu. Oczywiście nie mogli zapalać światła ani rozpalić w piecu, żeby nie zdradzić swojej obecności. Woda też była zakręcona na zimę. Nadal warunki życiowe były o wiele lepsze niż w zimowym, mokrym lesie.

Ja wróciłem po kilku dniach. Goście byli bardzo zakłopotani i cały czas przepraszaali za kłopot. Nie jedli za dużo, nie chcąc robić problemów. Uspokajaliśmy ich, że to nie oni są problemem.

Całe dni siedzieli schowani na strychu, bo mógł zająć jakiś sąsiad i sprawa by się wydała. Nie wiedziałem, jak poszczególni sąsiedzi mogliby zareagować, wolałem nie ryzykować. Domyślałem się też, że jeśli nawet sąsiad nie zadzwoni z donosem, to prawdopodobnie nie wytrzyma i może opowiedzieć to innym, aż w końcu trafi na kogoś, kto przekaże to na tyle daleko, że informacja dotrze tam, gdzie nie powinna. W mojej wsi, podobnie jak pewnie w każdej innej, przepływ informacji jest szybki i niekontrolowany. W dodatku ludzie lubią sobie dopowiadać różne rzeczy i czasami informacje krążą mocno zniekształcone.

Ryzyko było zbyt duże, dlatego chłopcy schodżyli dopiero późnym wieczorem, jedliśmy razem kolację, rozmawialiśmy, a potem oni znowu musieli chować się na strychu aż do następnego wieczora. Budziło to wszystko bardzo nieprzyjemne skojarzenia, było podobne do ukrywania Żydów przed hitlerowcami w czasie

okupacji. Wprawdzie miałem świadomość, że w razie wpadki nikt nie zastrzeli mnie, mojej rodziny ani ukrywających się ludzi, ale sam fakt, że ktoś musi się ukrywać z powodu niewłaściwego pochodzenia czy koloru skóry napęłała mnie wstrętem i rezygnacją. Dochodził fakt, że gdyby sytuacja się wydała, moi goście najprawdopodobniej zostaliby wyrzuceni do lasu, na Białoruś, co wiązałoby się z dużym ryzykiem pobicia, a także zamrażnięcia, bo wprawdzie nie było srogiego mrozu, ale jednak był, a oni nie byli w pełni sił po wielu dniach już spędzonych w lesie.

Dla mnie oznaczałoby to być może dołek, a na pewno ciąganie po sądach z niewiadomym finalnie skutkiem. Konsekwencje niewielkie w porównaniu z tymi, które groziły za ukrywanie ludzi w czasie okupacji, ale zasada ta sama: są ludzie legalni i nielegalni, którzy muszą się ukrywać. To, że została ona ustalona przez osoby głoszące wzniosłe hasła religijne, patriotyczne i moralizatorskie napawało mnie wstrętem.

Okazało się, że jedna z sąsiadek zaczęła coś podejrzewać.

– Ktoś do ciebie chyba przyjeżdżał, jak cię nie było, bo były odsłonięte zasłonki, a potem zasłonięte. Ktoś tam był.

To miła, starsza pani i obstawiałem, że nie jest negatywnie nastawiona do uchodźców, ale nie miałem pewności. No i obawiałem się, że może się wygadać. Dlatego kłamałem.

– Tak, był znajomy zabrać rzeczy pod moją nieobecność, zostawiłem mu klucz.

Sąsiadka niby uwierzyła, ale chyba nie do końca, bo to samo powiedziała potem mojej dziewczynie, a potem jeszcze ze dwa razy w najbliższych dniach mi. Na szczęście na tym się skończyło.

Goście siedzieli u mnie, dopóki nie udało się załatwić dla nich interimów – tymczasowych postanowień Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, które miały moc. Człowiek, który miał interim, nie mógł być wyrzucony za druty, choć wiadomo, że bywały przypadki, że i tak ludzi próbowano wyrzucić.

Gdy interimy po długich zamieszaniach formalnych były gotowe, trzeba było gości odstawić do lasu. Bali się bardzo, że interim nie zadziała, że zostaną wyrzuceni mimo to. Byli wręcz bladzi ze strachu, napięcia i niepokoju. Żeby odtransportować ich do lasu w biały dzień, trzeba było zorganizować całą operację. Pomogły w tym dwie sąsiadki z innej wsi. Znałem je, więc wiedziałem, że same noszą jedzenie do lasu. Od rana siedzieliśmy jak na szpilkach, w końcu moment nadszedł i zadzwoniłem po sąsiadki.

Jedna z nich siedziała w domu, czekając na znak, druga zabezpieczała tyły domostwa, moja dziewczyna kręciła się przed domem na ulicy, ja siedziałem w lesie. Gdy skomunikowaliśmy się, że teren jest czysty, sąsiadka otworzyła drzwi i dała znać gościom, żeby biegli. Pognali do lasu, gdzie ich przejąłem i odprowadziłem w umówione miejsce. Potem zostali ujawnieni w obecności człowieka z Biura

Rzecznika Praw Obywatelskich. Mieli uczestniczyć w tym również aktywiści, ale nie wpuszczono ich do strefy. Nasi goście trafili do ośrodka otwartego.

Kilka dni później wyjeżdżaliśmy z domu na trzy tygodnie, na ulicy stał mój samochód zapakowany bagażami, a my co jakiś czas coś donosiliśmy do niego. Wszedłem do domu i po chwili usłyszałem, że na ulicy coś się dzieje. Wyszedłem na zewnątrz i zobaczyłem policyjną sukę i sześciu policjantów świecących latarkami do środka mojego wozu i na moje podwórko. Spytałem, czy mogę w czymś pomóc.

– To pana samochód?

– Tak, mój. A co?

– Bo stoi otwarty z bagażami w środku.

– No tak, bo właśnie pakujemy się do wyjazdu, to spokojna okolica, nikt nic nie ukradnie.

– Ale samochód jest ubłocony, gdzie pan jeździł?

– Mamy pluchę, drogi są rozwalone przez wojskowe ciężarówki, co w tym dziwnego, że samochód jest brudny?

– A nie ma pan jakichś gości w domu?

– Nie, nie mam.

– Ale wie pan, chodzi mi o gości innej narodowości niż nasza.

– Nie, nie mam żadnych gości.

Ten, który ze mną rozmawiał, to był ten dobry policjant – niby się uśmiechał, niby był przyjazny, ale próbował wziąć mnie pod włos. W tym samym czasie drugi, o tępej, nalanej, kwadratowej mordzie chamsko gapił mi się w tym czasie w oczy bez najmniejszego cienia uśmiechu. Chciał zobaczyć, czy drgnie mi powieka, czy nie zdradzę się jakoś, że nie mówię prawdy. Byłem pewny siebie, bo dom był pusty. Zastanawiałem się, czy byłbym w stanie utrzymać pokerową twarz kilka dni wcześniej, gdy na strychu byli schowani ludzie.

Po raz kolejny nienawidziłem obrzydliwych sprzedajnych pajacy polujących na ludzi, którzy za moje podatki rujnowali moje samopoczucie.

Wróciłem do przerwanoego pakowania. Gnoje stały jeszcze ze dwie minuty, świecąc mi latarkami po podwórku, po czym odjechali.

Od mniej więcej połowy grudnia większość ludzi z lasu zniknęła. Dobrze, bo było zimno. Trafiali się, ale dużo rzadziej niż wcześniej. Potem dowiedziałem się, że po białoruskiej stronie zagnano ich do jakichś hangarów i przetrzymywano w nieludzkich warunkach przez najzimniejszy czas. Wtedy jeszcze łudziliśmy się, że migracja się niedługo skończy, służby wyjadą, a my – mieszkańcy odetchniemy z ulgą. Niestety już po mniej więcej połowie stycznia, a zwłaszcza z początkiem lutego, ludzi znowu zaczęło przybywać.

No i pojawił się kolejny problem – coś, o czym słyszeliśmy od dawna, ale wydawało nam się tak niedorzeczne, że wyparliśmy to. Nie za bardzo mieliśmy też czas o tym myśleć, zajęci niesieniem pomocy. Ogłoszono, że niedługo zacznie się budowa bariery granicznej.

Niektórzy nie mieli zdania na ten temat. Dla wielu ludzi, zwłaszcza starszych, była to dobra wiadomość. Na podstawie tego, co słyszeli w telewizji państwowej, wysnuli wniosek, że wybudowanie na granicy muru oznaczać będzie koniec czasu chaosu, ciągłych ruchów wojska, częstych kontroli, atmosfery napięcia. Tęsknili za czasem spokoju, kiedy działo się niewiele.

Dla ludzi mających lepszy ogłąd sytuacji była to kolejna tragedia. Nie tylko dla tych, którzy martwili się losem uchodźców, także dla tych, którzy cenili pograniczną przyrodę i krajobraz, także dla tych, którzy byli oburzeni, że rząd lekką ręką wyda ogromne pieniądze na coś nieskutecznego, niepotrzebnego i wręcz szkodliwego.

Bardzo oburzeni byli mieszkańcy tych miejscowości, w których miały znaleźć się magazyny materiałów na budowę muru. Niekiedy był to czysty egoizm – okazało się, że niektórym, zwłaszcza przyjezdnym, bardziej przeszkadzał wzmożony ruch ciężarówek i maszyn budowlanych albo lokalizacja składów budowlanych koło ich domów niż np. nieodwracalne zniszczenie cennych przyrodniczo terenów, jak choćby Puszcza Białowieska, zatrzymanie migracji zwierząt czy narażenie ludzi w drodze na kolejne kontuzje związane z przekraczaniem tak wysokiej i niebezpiecznej przeszkody.

Trafiłem na wiejskie spotkanie z przedstawicielami firmy Budimex. Był rzecznik firmy i kilku innych. Jeden nawet bardziej wyszczekany od rzecznika, w zasadzie to on powinien być tym rzecznikiem, bo dużo lepiej ogarniał. Nie wzbudzali zaufania, kłamali, posługiwali się okrągłymi, nieprecyzyjnymi sloganami. Na szczegółowe pytania odpowiadali wymijająco albo próbowali mydlić oczy zebranim. Prawie wszyscy ludzie, którzy przyszli na spotkanie, poza paroma lokalnymi szuchami, byli nastawieni negatywnie do inwestycji, natomiast niestety znaczna część mieszkańców była głównie zaniepokojona tym, jak blisko ich domów będzie zlokalizowany skład budowlany albo czy nie dałoby się puścić ciężarówek dowożących towar do granicy jakoś naokoło, żeby nie przejeżdżały koło ich posesji.

Najbliższe miesiące wyraźnie pokazały, że obietnice i zapewnienia przedstawicieli Budimexu były zwykłymi kłamstwami. Ciężarówki wożące materiały budowlane nagminnie przekraczały dozwoloną prędkość. Jeździły po drogach, po których obiecywano, że nie będą jeździć. Na spotkaniu opowiadano o myjniach, które będą myły koła ciężarówek, żeby nie wwoziły do Puszczy Białowieskiej nasion roślin inwazyjnych – nikt nigdy na żadnym składzie takich urządzeń nie widział. Mówiono, że prace nie będą prowadzone w godzinach nocnych, ale były.

Mieszkańcy nie byli zadowoleni z hałasu, kurzu i silnego oświetlenia składów przez całą noc.

Oczywiście terminarz prac rozciągnął się.

Jedyną chyba rzeczą, którą mówili przedstawiciele Budimexu, a która się potwierdziła, to fakt, że obiecywano wyremontować rozwalone przez budowlane ciężarówki drogi na koniec budowy. Faktycznie to zrobiono. Oczywiście nie wszystkie, ale część dróg faktycznie wyremontowano.

Żeby zostawić po sobie dobre wrażenie na zakończenie budowy, firma wybudowała w kilku wsiach wiaty dla turystów, a w jednej z nich dodatkowo płot otaczający ową wiatę i wiejską świetlicę. Zastanawiałem się w jakim celu – wszak jest to miejsce publicznie dostępne przez całą dobę – po co w takim razie zostało ogrodzone?

Oprócz oficjalnego wybielania wizerunku Budimex zrobił jeszcze wybielanie nieoficjalne – na koniec pozostałe na składach budowlanych materiały, np. piach, drewno, żwir, zaczęto rozdawać okolicznym mieszkańcom, jeśli tylko chcieli tego. Firma wysyłała też swoje maszyny na prywatne posesje, jeśli ktoś potrzebował coś wyrównać czy wykopać.

Tym kupili serca części mieszkańców, do niedawna złoścących się na panujący hałas, kurz, śmieci na poboczach dróg, pędzące przez wieś ciężarówki.



Fotografia 4. Zapora na granicy

Photo 4. Barrier on the border

Źródło: fot. autor, 2022.

Source: photo by author, 2022.



Fotografia 5. Uchodźcy z Iraku

Photo 5. Refugees from Iraq

Źródło: fot. autor, listopad 2022.

Source: photo by author, November 2022.

„Cudzą dupą hojny każdy dziad” – mówi mądre przysłowie. Łatwo jest rozdawać nie swój majątek. Materiały były kupione za publiczne pieniądze, więc firma nie ponosiła żadnych kosztów, rozdając je na prawo i lewo.

Budimex, wyjeżdżając, zostawił nieodwracalne zmiany w cennych przyrodniczo miejscach i na długie lata, jeśli nie na zawsze zatrzymał migrację zwierząt. Mur wybudowany przez nich przyczynił się do wielu złamań i okaleczeń wśród migrantów. W zamian ludzie dostali trochę piachu, żeby sobie wysypać na podwórkach...

Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale jeszcze pod koniec zimy ludzie znów pojawili się w lasach. Białoruski reżim wprawdzie zagnał większość z nich do jakichś surowych magazynów przed najcięższymi mrozami, ale też nie chciał zbyt długo ich żywić, więc dość szybko wygnał znowu do lasu. Faktem jest, że gdy na początku marca nosiłem jedzenie dla czteroosobowej grupy z Iraku, mówili mi, że gdy opuszczali magazyn w Bruzgach, to zostało tam może z kilkanaście osób.

O ile jesienią pod granicę zjechało się naprawdę wielu aktywistów i większość z nich dzielnie niosła pomoc ludziom w drodze, o tyle na wiosnę temat granicy polsko-białoruskiej zszedł z czołówek gazet i zainteresowanie tematem mocno spadło. Jeszcze zimą bazy pomocowe pełne były wolontariuszy, ale gdy nastąpiło rozluźnienie i zapanowało myślenie, że to już koniec kryzysu humanitarnego, wielu

ludzi zniechęciło się do przyjeżdżania. Powrót kryzysowej sytuacji nie spowodował już tak powszechnej mobilizacji pomagających przyjezdnych. I wtedy przynajmniej na pewien czas prawie cały ciężar spadł na barki mieszkańców.

Gdy wybuchła wojna w Ukrainie pogranicze polsko-białoruskie odczuło to mocno. W naszym kraju liczba ludzi zainteresowanych robieniem czegokolwiek społecznie, zwłaszcza za darmo, jest bardzo mocno ograniczona. Często ci sami ludzie zajmują się ochroną przyrody, praw zwierząt, praw człowieka i wszystkim tym, co ważne. Kiedy większość społeczeństwa zarabia pieniądze lub konsumuje, niewielka grupa, często tych samych osób, walczy o lepszy świat. Wiadomo było, że tak wielkie nieszczęście, jak wojna, wydrenuje Podlasie z wielu dobrych ludzi, którzy przyjechali tutaj ratować uchodźców, a po wybuchu wojny ruszyli pomagać uciekającym przed wojną Ukraińcom i/lub ratować ukraińskie zwierzęta.

Mieszkańcy strefy zamkniętej już wcześniej mieli przechlapane, bo wejście do strefy dla Niemców było nielegalne. Część pomagających odmawiała interwencji w zamkniętej strefie, bojąc się konsekwencji, a ci, którzy się tego podejmowali, mieli często bardzo utrudnione dostanie się do strefy. W niektóre miejsca wjazd był niemożliwy – były miejscowości, gdzie stałe punkty kontrolne funkcjonowały przez bite 10 miesięcy. Pozostawało przekradanie się lasem – trudne, czasochłonne i bardzo męczące. W strefie prawie całą pomoc dostarczali mieszkańcy.

Pisząc o kryzysie migracyjnym, nie sposób nie wspomnieć rzeszy miejscowych wzdłuż całej granicy, którzy, gdy państwo oraz duże organizacje zawiodły, wzięli na swoje barki niesienie pomocy humanitarnej. I wielu z nich przypląciło to zdrowiem psychicznym i fizycznym, zaniedbaniem swoich rodzin, aktywności zawodowych i innych ważnych aspektów życia codziennego. Na dłuższą metę bardzo trudno jest pracować, zajmować się rodziną, domem, zwierzętami domowymi, a jeszcze regularnie, często po nocach biegać z ciężkim plecakiem do lasu i skradać się, chowając przed służbami. Czasem też trzeba spać. W dodatku wystawianie swojej psychiki na permanentny stres, przemęczenie, obrazy głodnych, zaszczytanych, zmarzniętych, poranionych, czasem prawie umierających ludzi, w tym dzieci, jest bardzo mocno obciążające.

O ile większość przyjezdnych aktywistów przyjeżdżała na krócej lub dłużej, ale w końcu wyjeżdżała odpocząć fizycznie i psychicznie, o tyle większość mieszkańców nie miała takich możliwości. Ja byłem mieszkańcem strefy, ale miałem ten komfort, że różne zobowiązania wymagały ode mnie wyjazdów co pewien czas, czasami na dłużej niż kilka dni. W miejscu, gdzie mieszkam, nie było też aż takiego natężenia przejść przez granicę, co w niektórych lokalizacjach. Mimo to za każdym razem, gdy opuszczałem region, czułem ulgę. Nie byłem w tym osamotniony, słyszałem od wielu ludzi, którzy tu mieszkają, że czują się podobnie. Nawet wyjazd do najbliższego miasta poza strefę był czymś odświeżającym. Gdy wyjeżdżałem w inny region

kraju, czułem się jakbym przeniósł się do innego, odległego państwa. Nawet jeśli w telewizji mówiono o tym, co dzieje się na Podlasiu, wielu ludzi nie było w stanie wyobrazić sobie tego, co przeżywamy.

Przekrój pomagających był potężny. Pomagali bogaci i biedni, autochtoni i przeprowadzeni do regionu dawno i niedawno. Ludzie różnych zawodów. Prawosławni, katolicy i ateści.

Cieszyła mnie ta różnorodność i cieszyła mnie każda osoba, która wbrew zakłamaney, rządowej propagandzie ratowała ludzkie życia. Najbardziej cieszyło mnie osobiście uczestnictwo w oddolnej fali pomocy zwykłych, prostych ludzi. Bardziej spodziewałem się, że w pomoc humanitarną zaangażuje się dobrze sytuowany, wykształcony, dajmy na to pisarz czy informatyk, który przeprowadził się z dużego miasta i miał łatwo zorientować się w sytuacji, niż ubogi rolnik, który nigdy stąd nie wyjeżdżał, miał problem alkoholowy i nie wiedział, co to internet. A jednak tacy ludzie też angażowali się w niesienie pomocy. Napawało mnie to optymizmem, byłem szczęśliwy, że nie wszyscy dali sobie przeprać mózgi.

Poznałem między innymi schorowanego emeryta mieszkającego tu od pokoleń, który wyciągał zimą ludzi z bagien i zabierał do siebie do domu. Oferowali mu pieniądze, ale odmawiał. To nie był majątny człowiek, pieniądze na pewno by mu się przydały, ale jednak ich nie przyjął.

Mam miłych, starszych sąsiadów, państwo M., lubimy się, mam z nimi chyba najlepszy kontakt z całej wsi. Ogólnie są życzliwymi ludźmi, ale nie miałem pewności co do ich opinii na sytuację graniczną, dlatego trochę się obawiałem poruszać temat. Mowa o pani, która zauważyła, że ktoś zaglądał do mojego domu i jej mężu.

Po raz pierwszy chyba wspomniałem o budowie muru granicznego – że to niepotrzebne, że zaburzony spokój i mnóstwo zmarnowanych, naszych pieniędzy. Moje stwierdzenie nie spotkało się z dezaprobatą. To dało mi nadzieję, że są po dobrej stronie.

Faktycznie po pewnym czasie Z. któregoś razu wspomniała, że u innej sąsiadki w stodole byli uchodźcy. Cała rodzina.

- No i co z nimi się stało? – zapytałem.
- No nic, nosiła im mleko, jedzenie, a potem poszli dalej.
- I nie zadzwoniła?
- No nie, karmiła.
- To bardzo miło z jej strony, że zachowała się po ludzku.

Wiedziałem już wtedy, że Z. jest po dobrej stronie. I miłym zaskoczeniem było dla mnie, że druga sąsiadka, kobieta dosyć oschła, która jeszcze kilka miesięcy wcześniej mówiła, że jej syn dzwonił po straż, również zachowała się przyzwoicie.

W pewnym momencie zauważyłem też, że niektórzy sąsiedzi zaczynają narzekać na izolację ich miejscowości związaną z istnieniem strefy. Z rozmów z ludźmi dało się wyłuskać narzekanie na to, że nie przyjeżdżają turyści, a zawsze ich było dużo. Mówili to ludzie, którzy zawodowo nie mieli nic wspólnego z turystyką. Okazało się też, że niektóre doroczne wiejskie imprezy zostają odwołane z powodu istnienia strefy i to też spotykało się z niezadowolaniem mieszkańców.

Niektórzy ludzie ewidentnie zmienili podejście do tematu. A może po prostu na początku nie zastanawiali się głębiej nad powagą sytuacji, a gdy do nich dotarło, co tak naprawdę się dzieje, coś im zaskoczyło w głowie.

Jaskrawym tego przykładem był mój kolega P. i jego mama. Prawie każda wizyta u nich wiązała się z pomstowaniem na sytuację, służby i to jak traktują uchodźców. Ja już się nie kryłem z tym, co myślę, ale nie wtajemniczałem kolegi, że jestem zaangażowany w niesienie pomocy. Przy ostatniej mojej wizycie P. opowiadał, że jadąc traktorem z lasu, zobaczył spore obozowisko uchodźców. Patrzyli na niego przestraszeni, ale udał, że ich nie widzi i pojechał.

– Jaki jest problem? – pytał. – Czemu nie dadzą im spokoju, przecież nic złego nie robią. Gdyby kradli albo napadali na ludzi, to wtedy trzeba by coś z tym zrobić. Ale oni tylko idą, nikogo nie zaczepiają. To po co ich łapać?

Mówił też, że jego znajomy nielegalnie wędkując na odludziu, znalazł w szuwarach ciało uchodźcy. Mężczyzna unosił się na wodzie twarzą do dołu. Widać mu było zebra objedzone przez zwierzęta. Znajomy P. uciekł stamtąd nikogo nie powiadamiając, bojąc się nieprzyjemności w związku z tym, że przebywał tam nielegalnie i nielegalnie łowił ryby.

Podejście samorządowców do uchodźców i całej sytuacji było i jest bardzo różne. Oficjalnie prawie wszystkie samorządy podzielają rządową retorykę o zagrożeniu ze strony migracji. Jedynym wyjątkiem, jaki znam, są władze Michałowa, które wprost mówią o potrzebie wspierania uchodźców, nie przeszkadza im to zachowywać dobrych relacji np. z wojskiem, które stacjonuje na ich terenie. Może jest więcej takich przypadków, ale ja nie znam.

Co prywatnie myślą samorządowcy i urzędnicy gmin i powiatów pozostaje nam się domyślać i najprawdopodobniej poglądy na sytuację są mocno zróżnicowane.

Komunikaty niektórych samorządów to niestety bardzo często przykład skrajnego lizusostwa wobec władzy. Pełne podporządkowanie, zrozumienie dla bezsensownych działań, wspólne festyny z wojskiem i strażą graniczną. U kumatych mieszkańców wywoływało to odruch wymiotny. U nieświadomej gawiedzi wręcz przeciwnie.

W mojej gminie pracuje kobieta, która znana jest mi z dość nieprzychylnych poglądów, np. na potrzebę ochrony przyrody. Jest to też klasyczny przykład urzędniczki, która się niepotrzebnie czepia, i stwarza problemy tam, gdzie ich nie ma.

W dodatku nie grzeszy zbytnią inteligencją i często, jeśli nie ma w zanadrzu odpowiedniego przepisu bądź regułki, ma problemy ze znalezieniem odpowiedzi na zadawane jej pytania.

E. zadzwoniła wczesną wiosną do gminy. Miała pomysł, żeby posprzątać las dookoła naszej wsi. Kryzys humanitarny spowodował pojawienie się w lasach ton śmieci – uchodźcy porzucają po drodze wszystko, czego już nie potrzebują – opakowania po jedzeniu i napojach, buty, ubrania, śpiwory itp. Czasami muszą nagle uciekać i pozostawiają cały swój dobytek. Trudno im się dziwić. Gdy ktoś walczy o życie i czuje się ciągle jak zaszczute zwierzę, trudno, żeby jeszcze myślał, żeby po sobie posprzątać i na własnych plecach nieść zbędne mu rzeczy. Inna sprawa, że większość tych ludzi i tak by po sobie nie sprzątała. Sporo jeździłem swego czasu na wschód i południe i z przykrością muszę stwierdzić, że tamtejsze społeczeństwa nie mają nawyku wyrzucania śmieci w odpowiednie miejsce. Ogromna większość mieszkańców tamtych terenów wyrzuca śmieć w tym miejscu i momencie, w którym on powstał. Wynika to często z braku edukacji, odpowiedniej infrastruktury czy służb wywozujących śmieci. W krajach, gdzie panuje wojna, nędza i chaos, ludzie nie mają czasu i siły zastanawiać się nad „drobiazgami”.

W zasadzie można powiedzieć to samo o dużej części naszego społeczeństwa. Mnóstwo ludzi w Polsce i Europie również śmieci. Co więcej, produkujemy o wiele więcej odpadów niż kraje słabo rozwinięte. Tylko niewielka część tych odpadów jest poddawana recyklingowi.

O ile odpady zostawione po uchodźcach regularnie sprzątamy my – mieszkańcy i aktywiści pomagający ludziom w lesie, o tyle lasy na obrzeżach podlaskich wsi pełne są od lat ton odpadów z gospodarstw domowych – niekiedy są to odpady nowe, częściej to stare buty, garnki, opony i inny szmelc wyrzucany tam latami w niedalekiej przeszłości.

Właśnie takie odpady chcieliśmy posprzątać z E., korzystając z tego, że po zimie są szczególnie widoczne i nieprzerośnięte jeszcze zielskiem.

Od gminy potrzebowaliśmy pomocy w wywiezieniu tego, co zbierzemy.

Telefon odebrała urzędniczka, o której wspomniałem. Od początku tradycyjnie była naburmuszona i wietrzyła spisek. Podejrzewała, że chyba chcemy, aby gmina za darmo odebrała nasze, domowe odpady. Kiedy E. wytłumaczyła jej, że to będą odpady z lasu, bo za wywóz swoich płacimy sami, pani zaciętrzewiła się i powiedziała: „Aha, czyli śmieci po tych przebierańcach!”. Oczywiście miała na myśli uchodźców.

E. nie wytrzymała i kulturalnie, ale bardzo stanowczo ją napomniała, że nie życzy sobie takiego mówienia o ludziach i że urzędnika obowiązuje kultura, neutralność i rzeczowe podejście, a to, co ona robi, nie ma z tym nic wspólnego. Pani zmieszana się, przeprosiła i zaczęła się tłumaczyć, że to nie tak, że co innego miała na myśli.

Po miesiącach kryzysu humanitarnego widać, że działanie antyuchodźczej propagandy osłabło. Wielu ludzi zobaczyło, że dookoła nich, w lasach, są uchodźcy, a mimo to nie zrobiło się bardziej niebezpiecznie. Wielu mieszkańców miało też okazję zobaczyć ludzi z lasu na własne oczy, czasem niejednokrotnie. To ich obraz odczarowało. Nie byli już tylko mitycznymi, niebezpiecznymi postaciami z opowieści, tylko żywymi ludźmi, często mocno zabiedzonymi po tułaczce przez lasy i bagna.

Poszedłem na panichidę, prawosławne modły za zmarłego sąsiada. Zjechało się wielu żałobników, nie tylko ze wsi, ale też z dalszych okolic, bo sąsiad był dośyć znany i lubiany. Słyszałem jak ludzie, rozmawiając ze sobą, wspominali temat uchodźców. A to ktoś jechał wieczorem samochodem i widział idących poboczem ludzi, a to ktoś, gdzieś, coś słyszał.

To na pograniczu niezmiennie żywy temat. No i nie pierwszy już raz słyszałem opinie bardzo odmienne od tych, które było słycać na początku. „A niech sobie idą spokojnie, gdzie chcą”. „A co oni przeszkadzają, niech sobie jadą dalej, po co im mieszać”. „Krzywdy nie robią, po co ich to wojsko tak gania”.

Któregoś dnia zjrzałem przejazdem do P. Nie zastałem go, ale była jego mama. Bardzo sympatyczna starsza kobieta. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby używała wulgaryzmów. Tym razem była mocno wzburzona.

– Znasz tego (tu wymieniła jakieś nazwisko)?

Na wsi często ludziom wydaje się, że każdy zna każdego, ja niestety nigdy nie byłem dobry w zapamiętywaniu tych wszystkich nazwisk, zawodów, koligacji i innych szczegółów.

– No coś tam kojarzę.

– Wiesz, że zameldował tych chłopaków!?

Nie za bardzo zakumałem, o co jej chodzi. Jakich chłopaków? Gdzie zameldował?

– Ale jak zameldował?

– No na policję!!! Weszli mu do stodoły, żeby się schować, nic złego nie robili, a on ich zameldował!

– Znaczy na uchodźców doniósł policji?

– Tak! To c**j j****y! Co mu oni winni? Ponoć po ponad 300 zł dostał za każdego. Już kiedyś też zameldował. Ale przyjdzie kiedyś na niego za to kara. Jak tak mógł!

Przytaknąłem. Byłem też pozytywnie zaskoczony, że aż tak pani przejęła się losem ludzi. Nie będę ukrywał, że zrobiło mi się miło.

Po około 14 miesiącach trwania kryzysu humanitarnego jego końca nie widać. Mur graniczny wybudowany z naszych podatków za ogromną kwotę nie działa. Ludzie idą jak szli, tylko częściej doznają poważnych obrażeń, forsując barierę. Mur za to skutecznie blokuje migrację zwierząt i jest elementem niesamowicie szpecącym krajobraz.

Mieszkańcy pogranicza z jednej strony przywykli częściowo do patologicznej sytuacji ciągłych kontroli i wielkiej prezencji mocno uzbrojonych służb mundurowych w regionie, z drugiej strony są bardzo zmęczeni i zasmuceni pozbawieniem ich regionu, znanego dotychczas z ciszy i spokoju – jego walorów. Bardzo mocno ucierpiała branża turystyczna. 10 miesięcy kompletnego zamknięcia dla odwiedzających największe atrakcje turystyczne regionu, a po otwarciu pozostawanie w nim tysiące uzbrojonych mundurowych zatrzymujących samochody i zadawających agresywnie pytania skutecznie odstraszyło większość turystów.

Niosący pomoc mieszkańcy są też już bardzo wyeksploatowani. Niektórzy zrezygnowali z tego, ratując się w ostatniej chwili od załamania nerwowego, zupełnego wyczerpania psychicznego i fizycznego, utraty pracy czy rozpadu więzi rodzinnych. Ci, którzy pozostali, w tym, co robią, nabrali ogromnego doświadczenia, sprofesjonalizowali się. Część z nich została zatrudniona przez różne NGO-sy, żeby mogli poświęcić się tylko temu, bo naprawdę nieliczni są w stanie być w gotowości do ratowania ludzkich żyć nocami, za dnia chodząc do innej pracy. Niestety jak to zawsze bywa pojawiły się rozmaite konflikty wewnętrzne pomiędzy niektórymi ludźmi niosącymi pomoc. Mimo wszystko siatka pomocowa nadal działa i mimo nieudolności państwa, a wręcz mimo utrudnień i szykan z jego strony, nadal ratuje ludzkie życia.

Duże organizacje typu PAH, Caritas, PCK wciąż nie dotarły na granicę. Wprawdzie czasami udzielają pomocy rzeczowej lub materialnej, ale fizycznie ich tu nie ma i wszystko nadal spada na barki mieszkańców, aktywistów i niewielkich NGO-sów.

Podobnie nie widać zaangażowania ze strony Kościoła katolickiego czy Cerkwi prawosławnej. Nie znam osobiście żadnych przygranicznych duchownych zaangażowanych w niesienie pomocy bliźniemu, który utkwiał w podlaskich lasach. Pod kościołami wiszą banery „Murem za polskim mundurem”, co we mnie jako w osobie wierzącej wywołuje nie tylko ogromny żal, ale też wściekłość.

Słyszałem o nielicznych wspierających duchownych, niestety spoza regionu. Możliwe, że są tu jacyś, którzy nie chcą się ujawniać, ale i tak pokazuje to niestety, jak bardzo duchowni odeszli od tego, co głoszą.

Niektórzy ludzie przez sytuację graniczną mocno skonfliktowali się ze znajomymi i sąsiadami przez różniące się podejście do problemu.

Wśród wielu ludzi bardzo ucierpiał wizerunek służb mundurowych, zwłaszcza straży granicznej, która do tej pory cieszyła się dużym szacunkiem, a strażnicy będący często lokalnymi mieszkańcami lub znani z widzenia odbierani byli jako element lokalnej społeczności.

Moja filozofia życiowa jest taka, że wszystko, co się dzieje, ma dobre i złe strony. Tylko proporcja dobrych i złych elementów jest często bardzo nierówna.

W przypadku kryzysu humanitarnego bez wątplenia mocno przeważają elementy negatywne. Jakie są pozytywne? Na pierwszy rzut oka trudno je sobie wyobrazić,

ale takie też są. Przykłady: wielu mieszkańców i przyjezdnych aktywistów poznało się. Wiemy teraz doskonale, na kogo można liczyć w tych niepewnych czasach, a kogo trzeba omijać szerokim łukiem. Czasem poznali się ludzie, którzy normalnie nie mieliby ze sobą nic do czynienia, a połączyła ich kryzysowa sytuacja.

Pojawienie się w regionie ludzi z odległych miejsc, ludzi innych narodowości, religii, kolorów skóry uświadomiło mieszkańcom, jak bardzo świat jest różnorodny, to zupełnie inne doświadczenie zobaczyć w telewizji migawkę z Somalii, a spotkać w lesie koło domu rodzinę z Somalii.

Tak nagle zmiana i pojawienie się ludzi w lasach uświadomiła nam, mieszkańcom, że sytuacja na świecie jest bardzo niestabilna. My żyjemy w dobrobycie, ale są rejony, gdzie ludzie zmagają się z wojnami, przemocą, głodem. Wystarczą decyzje polityczne i nasze ścieżki z tymi ludźmi zaczynają się przecinać. I nagle okazuje się, że na Podlasiu widzimy efekty kryzysu klimatycznego, który wygania ludzi z ich miejsc zamieszkania. Albo efekty wielkiej polityki. To daje nam do myślenia, że nic nie jest stałe i niezienne. Dzisiaj oni, może jutro my.

Pojawienie się „obcych” zmienia też stereotypy. Ludzie, którzy bali się inności, mieli okazję zobaczyć, że ludzie z zupełnie innych kręgów kulturowych różnią się od nas, ale wcale niekoniecznie muszą być zagrożeniem. Są tak samo ludźmi i mają podobne potrzeby – zarówno egzystencjalne, jak i wyższe.

I tutaj kolejna ważna lekcja dla tych, którzy idealizowali sobie w głowie obraz przybysza. Okazało się, że uchodźcy tak samo jak nasi sąsiedzi są tylko ludźmi. Nie są kimś wyjątkowym, nadprzeciętnie dobrym. Są różni, podobnie jak Polacy i każdy inny naród. Niektórzy są skromni i bardzo sympatyczni, niektórzy bardziej roszczeniowi. Jedni płaczą ze wzruszenia, że dostali cokolwiek do jedzenia, inni dopytują, czy nie ma czegoś smaczniejszego. Wszyscy oni zasługują na pomoc, bo nikt nie zasługuje na śmierć w imię polityki i nie powinniśmy za bardzo wnikać, kim byli w swoich poprzednich życiach, ale po prostu ci ludzie przestają być bezimiennymi uchodźcami bez twarzy. Potem pamiętamy, np. że Hadi był super sympatycznym skromnym człowiekiem, a Ali trochę bardziej cwaniaczkim, z którym pewnie w normalnej sytuacji ograniczylibyśmy relacje do „dzień dobry”. Okazuje się, że uchodźcy nie są ani potworami, którzy przyszli nas okraść, zgwałcić i zniszczyć naszą kulturę, ani aniołami, którzy będą nas do końca życia przeproszać za to, że żyją.

Wielu mieszkańców Podlasia, nie tylko tych, którzy nieśli pomoc, zorientowało się, że obcy nie musi się równać zły. To wielka porażka populistycznych polityków. W rejonach przygranicznych stracili dużą część posłuchu, jaki mieli.

No i tu zmierzam do kolejnej wartości dodanej – duża część mieszkańców uzmysłowiła sobie, jak kłamliwa jest propaganda rządzących i wykonawców ich poleceń. Jak dużo kłamstw słyszą na co dzień z telewizji czy radia. Nawet takie drobne szczegóły jak straszenie islamem. Nagle okazało się, że spora część uchodźców



Fotografia 6. Oddolna akcja mieszkanek i mieszkańców Podlasia – w czasie jednej nocy w wielu miejscowościach podmieniono tablice informujące o zakazie przebywania w strefie na cytaty z Pisma Świętego

Photo 6. A grassroots action by residents of Podlasie – during one night in many towns, signs informing about the ban on staying in the zone were replaced with quotations from the Bible

Źródło: fot. autorzy akcji, 2022.

Source: photo by authors of the grassroots action, 2022.

to chrześcijanie. Albo komunikaty straży granicznej, że udaremniono próby przekroczenia granicy i nikt granicy nie przekroczył, bo mamy mur, a potem spotyka się całe grupy, które w tym czasie granicę przekroczyły. Oczywiście, że nie każdy wyniósł te wszystkie pozytywne lekcje, są ludzie, których nic nie przekona, i jak w coś uwierzą, będą się tego trzymać niezależnie od faktów.

Kryzys humanitarny trwa. Opinie ekspertów są takie, że raz otwarty szlak migracyjny nigdy się nie zamknie. Nie pomogą żadne mury, represje, szykany. Niektórzy i tak chcą, a niektórzy po prostu muszą uciekać, żeby ratować życie. I my, mieszkańcy, a na pewno duża część z nas, mamy tego świadomość. Z jednej strony cieszy nas, że dużej części uchodźców w końcu udaje się dotrzeć do bezpiecznego miejsca. Z drugiej strony jesteśmy mocno zmęczeni prezencją służb, ciągłymi kontrolami, śmieciami w lesie, ryzykiem ze strony mundurowych, brakiem spokoju, bo w każdej chwili może okazać się, że trzeba kogoś ratować i wtedy stajemy przed ciężkim wyborem – nie pomóc i zadbać o własne sprawy, czy rzucić znowu wszystko, zarwać noc i pomóc kosztem swego prywatnego komfortu. Do tej pory wciąż pomagamy.